

BOHDAN WARCHAŁOWSKI

# Seans spirytystyczny.

3

Lange poczuł nagłą antypatię do ery obecnej, która zmienia, jak rękawiczki, ornamenty, kształty, stroje, wzory architektoniczne, a wraz z tem wszystkim duszę ludzką.

Naprzeciw niego siedział właśnie i pił herbatę najprawdziwszy syn dwudziestego wieku, Nat Bellow, człowiek zdolny i inteligentny, posiadający ogromną ilość wartości niewykształconych, zmieszanych, rywalizujących z sobą, a tworzących w rezultacie dyletancką gmatwaninę, na tle której widniała cała nicość jego pokolenia.

Oczy dyrektora spoczęły z kolei tkliwie na eleganckiej sylwetce Annie. Teraz dopiero pojał, jak puste było jego dawniejsze życie i jak wiele ta kobieta w nim przemieniła. Zdało się, że od czasu poznania i zbliżenia, spojrzął na świat nowymi oczyma. W przeciągu czterech tygodni widywał ją prawie codziennie. Zamieniali wrażenia, myśli, pomysły. Odczuł najistotniej, że Annie stanowi nieodzowne dopełnienie do jego umysłowości. Dopełnienie, bez którego w najbardziej rozświetlonym pokoju brak słońca, a życie płynie jednostajnie, szeregując szare, puste dni, treści pozbawione, w długi, niepokojąco długi rząd martwych, bezcelowych czasokresów.

W śmiałych przypuszczeniach widział tę drogą głowę w wykwinnym zacisku swego warszawskiego mieszkania, a wtedy nerwy jego drgały radostnym odczuciem przyszłości barwnej i celowej.

Nie zdobył się jednak do dziś dnia na żadną propozycję. Przeraziła go myśl o odmownej decyzji Annie. Mogła prysnąć mydlana bańka, a wtedy czeka go znów długi, ach! jak długi rząd anemicznych, monotonicznych dni i wieczorów.

Annie odłożyła zeszyt i oczy jej spotkały się z niewolniczym spojrzeniem Artura. Zabłyśzczał w nich przez chwilę ledwie dostrzegalny, odbłysek zniecierliwienia.

— Chodźmy już, Nat. Oczy mi się kleją, Marynarz zadzwonił łyżeczką na kelnera.

— Payer!

Podszedł płatniczy, starszy, poważny pan, we fraku ze śnieżną serwetką zarzuconą przez ramię. Dyrektor machinalnie wyciągnął portmonetkę.

— Ja ureguluję — rzekł Nat Bellow.

Sięgnął do bocznej kieszeni surduta... i na twarzy odbił mu się zdziwienie. Pomacał się nerwowo po wszystkich kieszeniach, wreszcie zwrócił się do Artura:

— Nie było sądzonem! Zgubiłem portfel!...

Twarz jego przybrała wyraz sztucznego, kamiennego spokoju.

Dyrektor spieszenie zapłacił i zapytał, siłąc się na współczucie.

— Mam nadzieję, że nie poniósł pan wielkiej straty?

— Niestety... Tak! Wszystkie pieniądze jakie przeznaczyłem na pobyt w Paryżu, zginęły mi w sposób mocno zagadkowy. Dokładnie pamiętam, że zabrałem je ze sobą, wychodząc z domu.

— Ile ci zginęło, Nat? — zapytała Annie, ochłonawszy z wrażenia.

— Trzydzieści dwa tysiące franków, a co najważniejsze dyplom szkoły morskiej w Liverpool.

— Musisz zaraz dać znać na policję!

— Tak. Zrobię to, chociaż mam wrażenie, że sprawię tem kłopot naszemu znajomym. Portfel zginąć mógł jedynie podczas seansu.

Wyszli z kawiarni, odprowadzani do drzwi ironicznymi uśmieškami powiadomionej o zajściu służby.

— O ile nie sprawi to państwu kłopotu, to poproszę o odprowadzenie mnie na komisariat. Takie sprawy najlepiej załatwiać od razu.

— Chętnie!

Minęli parę ulic i weszli na schody, słabo oświetlone jedyną lampką gazową.

W ciemnej i brudnej poczekalni zapytał ich o sprawę pełniący służbę policjant w tradycyjnej czapeczce, obrzucając całe towarzystwo spojrzeniem opryskliwym i nieufnym.

— Zaraz zawiadomię komisarza!

Po chwili wpuścił ich do przyległego pokoiku, gdzie, rozparty za biurkiem, urzędował otyły pan.

Nat w krótkich słowach opowiedział mu całe zdarzenie.

Komisarz zagasił papierosa i zapytał, jakby od niechcenia.

— Więc pan sądzi, że portfel zginął w trakcie seansu? Tiens! To ciekawe! Czy zna pan nazwiska osób, które brały w nim udział?

— Tak, komisarzu! I tem dziwniejszym wydaje mi się cały ten wypadek.

— Chciałbym z panem pomówić w cztery oczy — podjął urzędnik. — Radzę jednak być bardzo ostrożnym w rzucaniu podejrzenia. Dzisiejsza procedura jest pod tym względem bardzo surowa!

Dyrektor wyprowadził panią de la Castelle z powrotem do poczekalni. Usiedli tam na krzesłach pod ścianą.

Wśród urzędowo pustych murów i odrapanych ław ścisnęła Artura za gardło neurasteniczna melancholija.

Siedzieli tak w milczeniu. Ona, zakłopotana, kryjąc twarz w wysokim kołnierzu płaszczyka, on, smutny i rozstrojony, daleki jednak myślą od zdarzenia, które ich wepnęło do tego ponurego lokalu.

Po kwadransie otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich urzędnik.

— Proszę panią! — rzekł krótko.

Annie weszła, rzucając dziwne spojrzenie na osowiałego dyrektora.

Znowóż zatrzasnęły się drzwi. W poczekalni pozostał Lange i drzemający na ławie policjant.

Uczony nie przypuszczał nigdy, że komisariat sprawi na nim wrażenie tak przykre. Zdało się, że każda zbrodnia, która tu znalazła swój epilog, pozostawia na ścianach swe brudne, żółtawe znamię. W czerwonej poświacie maleńkiej lampki wszystkie sprzęty, tworzące na podłodze i ścianach ciężkie, przygniatające cienie, zdały się być narzędziami, służącymi do ujarzmiania ponurej, drapieżnej bestji, zawartej w duszy współczesnego człowieka. Artur Lange, którego myśl twórcza rozwijać się mogła jedynie na tle wytwornem, w ciepłych promieniach starej, arystokratycznej sztuki, skarłał i przycichł w tem niezwykle otoczeniu.

Z niecierpliwością czekał chwili, gdy będzie mógł wyjść na gwarą i jasną ulicę.

Tymczasem badanie przeciągało się długo. Zawezwano go wreszcie z kolei do gabinetu.

— Imię, nazwisko, zawód, miejsce stałego zamieszkania? — zapytał komisarz tonem urzędowym.

Dyrektor uspokoił się i odpowiadał na szczegółowe pytania.

— W jakich okolicznościach poznał pan panią de la Castelle?

— W galerji Louvre'u.

— Hm! Sprawa jest bardzo ciemna. Wybacz państwo — zwrócił się do Annie i Nata Bellowa — ale będę zmuszony przeprowadzić rewizję przy osobie ich znajomego.

Kobieta wyszła, wsparłszy się na ramieniu marynarza.

Oślupiały dyrektor pozwolił bez protestu na ten dziwny proceder.

Wprawne ręce szybko przetrząsają kieszenie. Leżą już na stole jego klucze, portmonetka, scyzoryk, 50 centymowa moneta... chustka... Raptem...

— Co to? — wyrwało się ze ściśniętego gardła uczonego — panie komisarzu! To nie mój portfel!

— Właśnie! Właśnie... — sepleni komisarz — to jest zapewne portfel, o który nam chodzi... tak to jest portfel kapitana Bellowa!

Artur Lange czuje, że nogi się pod nim chwieją.

— Hallo! Christophe! — krzyczy komisarz do przyległych drzwi. — Weź tego ptaszka i spisać mi protokół!

— Proszę państwa! Mamy już złodzieja! Ktoby przypuszczał? No, no!

Wchodzi Annie i Nat, początkowo zdziwieni, potem uśmiechnięci ironicznie.

Kapitan dziękuje uściśnięciem ręki komisarzowi za szybkie załatwienie sprawy, a potem zwraca się do uczonego:

— Do widzenia, „dyrektorze!” — szepce cynicznie uśmiechnięty — a raczej nie, nie zobaczymy się tak prędko! Na przyszłość będę ostrożniejszy!

Artur Lange oniemiały stoi pośrodku pokoju. Przestał już rozumieć całe zdarzenie. Ach! To jakaś pomyłka!

Widzi wzrok ukochanej kobiety pełen bezgranicznej pogardy.

— To pomyłka! Annie! Annie! Niech pani nie odchodzi!

Pokój zawirował wściekle wokół uczonego, jak roztańczony pokład karuzeli. Runął ciężko na podłogę.

\*

Minęło parę długich, okropnych dni, zanim wypuszczono Langego na wolność, oczywiście z ceremonialnem przeproszeniem i usprawiedliwianiem się. Sam komisarz zawitał do celi aresztanta, by zawiadomic go, iż zaszła jedynie pomyłka i że policja dołoży wszelkich starań, by sprawę wprowadzić na właściwe tory.

Skonstatowano następujące szczegóły:

Nat Bellow, osobnik bez stałego zajęcia, ekskapitan handlowego parowca „Adelaida“, zamiesz-

kały na rue Lazarre, podczas seansu spirytystycznego, korzystając z ogólnej konsternacji, wyciągnął z kieszeni dyrektora Langego portfel, zawierający przekazy na bank „Crédit General“ na ogólną sumę czterdziestu tysięcy franków. Po opróżnieniu, wsunął go z powrotem do kieszeni uczonego a wraz z nim i swój portfel, by móżdż spowodować *aresztowanie poszkodowanego*. Ostatnia ta okoliczność była nieodzowną dla zrealizowania przekazów w banku nazajutrz rano, gdyż w przeciwnym wypadku Artur Lange mógł zaalarmować bank, a wtedy cała machinacja sześla by na niczem. O zawartości portfela dyrektora poinformowała Bellowa jego kochanka, stając się przez to samo współwinną przestępstwa.

Natychmiast po zrealizowaniu przekazów awanturniczka para wyjechała w niewiadomym kierunku. Rozpoczęto pościg, który jednak do tego czasu nie dał żadnych wyników.

Tak mniej więcej brzmiało sprawozdanie komisarza policji. Dyrektor wyszedł za bramę więzienną, ślaniając się na nogach.

Wionęła nań fala gwaru ulicznego. Zmrużył oczy pod nadmiarem światła. Nie czuł nic, okrom nieprzepatnej chęci ucieczki, wypoczynku i zapomnienia.

Dał znak stojącej opodal dorożce automobilowej, rzucił swój adres i zaszył się w najgłuchszy kąt karetki, chcąc skryć przed ludźmi swój nieogolony zarost i pomięte ubranie.

Dopiero w domu uprzytomnił sobie, jakie katastrofalne skutki mogła pociągnąć za sobą cała ta obrzydliwa awantura.

Pieniądze, które mu skradziono, były własnością muzeum. Stracił je na skutek swej lekkomyślności. Trzeba będzie to pokryć z własnej kieszeni. Ma wprowadzić w banku sumę, która by na to wystarczyła — pieniądze, zebrane w przeciągu całego życia, owoc mozolnej, codziennej pracy... jednak... Tu stanęła mu przed oczami siwa głowa matki... Nie! Za nic w świecie nie wyda ani grosza z tego kapitału. Roczny procent i tak zaledwie wystarcza na jej skromne potrzeby.

Pozostają więc zbiory. Ukochane półki, zastawione pamiątkami i dokumentami historii, które gromadził z taką starannością i znanstwem.

Tak! Niema innego wyjścia. Jakżeż puste będzie jednak życie, pozbawione tych drobiazgów... Pustsze, niż dotychczas...

Roześmiał się gorzko, cynicznie na myśl, która zmroziła go swem szysderstwem:

— To życie miała ci ozłocić i wypełnić kobieta... ha! ha!... uciekła ze swym bratem... kochankiem ha!... ha!...

Rzucił się na kanapę i ukrył głowę w dłoniach. W ciągu całego wieczoru stała mu w oczach jej uśmiechnięta twarzyczka, tak dobrze umiejająca fałszować miłość i ręce... maleńkie, subtelne rączki, które okradły go z pieniędzy i złudzeń...

\*

Po powrocie do Warszawy dyrektor wystawił natychmiast na sprzedaż swoje zbiory. Nie chciał za żadną cenę, by jego koledzy dowiedzieli się o dziwnej przygodzie, która okryłaby go śmiesznością. Dlatego też nie zawiadomił dyrekcji muzeum o stracie pieniędzy, lecz bezwzględnie zakupił za własne pieniądze fatalne majoliki.

Życie popłynęło zwykłym, codziennym torem. Artur Lange nabrał instynktownej wprost odrady do wrażeń i wypadków z poza sfery swej pracy zawodowej. Prosto z muzeum przywoził go tramwaj do domu, skąd nie wychodził nigdzie.

Częściej natomiast, niż dawniej, jeździł do swej matki, jakby chcąc zatopić w tkliwych jej pieśczościach dawną, nieziszczoną tęsknotę do innego uczucia.

Myśl o Annie nie opuszczała go nigdy. Czas zagoił rany, które zadała mu drobna rączka paryżanki i w miejsce urazy zapanowała w sercu Artura ogromna litość dla tej istoty, puszonej samotnością w wir burzliwej egzystencji. Wyobrażał sobie w sposób aż zbyt realistyczny wszystkie upokorzenia, których jej musiał nie szczędzić awanturniczy towarzysz.

Często skupiał całą siłę woli, by odpędzić od siebie uparte myśli, odrywające go od pracy, zaturwające każdą wolną chwilę... i obraz pryskał, lecz po chwili wracał ze zdwojonym uporem, a wtedy dyrektor w odludnej ciszy swego mieszkania czuł wielkie, gorące łzy na swych policzkach.

Myśli te i łzy pokryły jego twarz gęstą siecią cieniutkich zmarszczek. Starzał się gwałtownie.

\*

Dyrektor siedzi w gabinecie i przegląda świeżo nadesłane zeszyty i komunikaty naukowe. Lampa przyćmiona dyskretnym abażurem rzuca na jego sylwetkę łagodny blask. W mieszkaniu całym nie słychać nic, prócz szmeru kartek i tykotu wielkiego